Rok 1937 19 września Nr 38

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Na alarm

Ileż to już razy dzwonił „Dzwon" i „Dzwoneczek" na alarm: Źle jest! Trzeba ratunku, bo inaczej Polska zmarnieje, zmarnieje młodzież — ta nadzieja i przyszłość narodu!

— A cóż to za nieszczęście grozi, jaka znowu klęska okropna? — spytacie mili czytelnicy.

Odpowiem na to:

— Klęska gorsza, niebezpieczeństwo groźniejsze od niewoli, w której pogrążeni byliśmy przez półtora wieku.

Bo w niewoli marzyliśmy i pracowali nad odzyskaniem wolności. Dzisiaj natomiast wielka część narodu sama pcha się w niewolę, w niewolę, która go upadla, a z każdego poszczególnego człowieka czyni stworzenie nie mające prawa do tej nazwy.

Trzeba tu jednak dodać, chociaż żadnej nie stanowi to pociechy, że nie tylko nam Polakom grozi to niebezpieczeństwo, ale zagrożona jest nim cała ludzkość.

I dlatego właśnie, że jest ono tak powszechne, zjechali się świeżo w Warszawie przedstawiciele wielu narodów, by radzić nad sposobami ratunku póki jeszcze czas, póki nie za późno. Zjazd ten — to międzynarodowy kongres przeciwalkoholowy, o którym pisały wszystkie gazety.

Niejeden z czytelników uśmiechnie się na to i szepnie sam do siebie: Czyż potrzeba aż zjazdu całego świata, żeby radzić nad pijaństwem i pijakami? Przestać pić — i basta! Obejdzie się wtedy bez zjazdów, narad i t. p.

Rzeczywiście, ślicznie by tak było, gdyby tylko to mogło wystarczyć. Ale niestety, alkoholizm, czyli używanie trunków spirytusowych jest już dzisiaj tak rozpowszechnione w całym świecie, ludzie tak się bez owej „pociechy" obejść nie mogą, tak mało kto zdaje sobie sprawę ze spustoszenia, jakie czyni alkoholizm, że właśnie trzeba narad wszystkich narodów, aby alarm, jaki one uczynią, wstrząsnął nareszcie ludzkością i doprowadził do upragnionej zmiany.

A ludziom owym, których oczy otwarte są szeroko na widmo zatraty idącej z alkoholizmem, chodzi przede wszystkim o uratowanie młodego pokolenia. Niechaj przynajmniej ono — wołają — nie zazna trucizny, którą zatruli się jego ojcowie i dziadowie. Tym starszym trudno już odzwyczaić się od tego, do czego nawykli długimi latami, za to wy wszyscy młodzi, którzy dopiero wstępujecie w życie i w najbliższej przyszłości pokierujecie nie tylko własnym, ale i życiem swego narodu — nie dajcie wciągnąć się na tę samą błędną drogę, po której szły dotychczas pokolenia poprzednie.

A zatem i ty, młodzieży polska, jeśli chcesz sama żyć życiem prawdziwie godnym człowieka, i jeśli chcesz, aby Polska żyła życiem godnym wielkiego i szlachetnego narodu, — odtrąć od siebie raz na zawsze pokusę, której szatan używa, by uwieść cię na swoją stronę. Gdybyś mu na to pozwoliła raz jeden, już cię ze swojej sieci nie puści! Tak cię omota, tak cię osłabi, ubezwładni, jak pająk muchę nieostrożną, która nie dojrzała jego zasadzki.

A więc i ty bij na alarm i wołaj na wszystkie strony:

— Nie chcemy być niewolnikami nałogu! Chcemy być ludźmi wolnymi i trze-

żwymi, by nic zdradzieckiego nie miało do nas nigdy przystępu!

——oOo——

Przytaczamy tu z pisma p. t. „Przyjaciel Trzeźwości“ piękny wiersz Marii Głaszczkówny, który jest właściwie modlitwą serdeczną za tych, co nie mają sił do podniesienia się z upadku.

Zdrowaś Maryjo!
Ludzie tak piją —
choć wokół nędza i bieda...

O, pełna łaski...
W niebiańskie blaski
ten nałóg wejść nam nie da.

Pan z Tobą...
Kraj się okrywa żałobą,
troski go gnębią czarne.

Błogosławionaś między niewiastami..
O, módl się za nami,
byśmy nie szli na marne!

Błogosławiony Jezus, owoc Twego [żywota..
Otwórz nam do Niego wrota,
otwórz nam drogę do nieba!

Święta Maryjo!
Ludzie wciąż piją —
chleba, nie wódki im trzeba!

Matko Boża...
Bądź jasną Zorzą
wszystkich błądzących w ciemności.

Módl się za nami grzesznymi...
Prosimy za pijącymi,
prosimy Twojej litości!

Teraz i w godzinę śmierci naszej...
Od piekieł przemocy wrażej
broń nas — i niechaj pamiętamy,
że nie staniem u niebios bramy
z sercem pijanem!
Amen!

W otchłaniach wód

Podobno do takich niegłębokich wycieczek nie potrzeba ani nadzwyczajnej umiejętności ani wprawy. Oczywiście mowa tu tylko o ludziach, którzy w ogóle znieść mogą na czas dłuższy zagłębienie się w wodzie, mają zdrowe płuca i mocne serce. Jedynie w okolicach chłodniejszych używał Beebe ciepłego, nieprzemakalnego kostiumu. Spuszczał się zaś w wodę albo za pomocą drabinki składanej, albo po zwykłej linie, umieszczonej na łodzi. Za każdym razem wracał coraz bardziej oczarowany pięknością krainy podwodnej i coraz bardziej pragnący tego, żeby ją przeniknąć jeszcze głębiej — tam kędy starczyć już nie może zwykły hełm nurkowy na głowie i lina, po której samemu wydostać się można na powierzchnię.

Pragnienia te nieustraszonego przyrodnika spełnić miała dopiero batysfera.

Mimo, iż przez długie czasy Beebe żył jedyną myślą o jak najprędszym poznaniu wodnych tajemnic, to jednak, gdy nadeszła wreszcie chwila, kiedy miał dać się pogrążyć w batysferze w bezdnie oceanu, musiał chyba przeżywać wraz ze swym towarzyszem niemałe wzruszenie.

Wszystko wprawdzie było jak najdokładniej obmyślone i obliczone; wszystko wykonane zostało jak najstaranniej i z najlepszych materiałów; ale czyż w tak nieznanych warunkach nie mogła zajść jakaś zupełnie nieprzewidziana niespodzianka, coś, co najświetniejszym obliczeniom uczonych zadać mogło kłam? Wszak tej rzeczy nikt jeszcze dotychczas przed nimi nie badał, nie próbował, — skąd zatem pewność, że przedsięwzięcie się uda?

Któż mógł zaprzysiąc, że np. nie powtórzy się to, co się raz już zdarzyło, gdy dla próby spuszczono kulę bez ludzi w środku? Czyż tak samo i teraz nie może dostać się do wnętrza przez jakąś niedostrzegalną szczelinę woda, która śmiałków zadusi? A jeśli lina, która,

mimo, że może udźwignąć ciężar o wiele większy, urwie się nagle, czy zerwie w miejscu umocowania i pozostawi batysferę na dnie oceanu, by stała się trumną dla tych, co się odważyli przejrzeć tajemnicę wodnych otchłani?

Już raz marynarze na statku, którzy batysferę spuszczali z zamkniętymi w niej dwoma przyjaciółmi, przeżyli chwilę śmiertelnej trwogi, gdy nagle usłyszeli znany sobie dobrze huk, który oznaczał pęknięcie liny. Na szczęście, pękła wówczas tylko lina pomocnicza. A gdyby tak stało się z liną główną?

Nic jednak z najgorszych nawet przypuszczeń nie zdołałoby odstraszyć Beeba od zamierzonego celu. Po pierwszej wyprawie batysferą w roku 1930, odbył trzydzieści kilka podobnych wypraw i to coraz głębszych, aż wreszcie dosięgnął 923 metrów głębokości, gdzie przetrwał prawie 3 godziny. Niżej opuścić się już nie dało, gdyż lina na kołowrocie kończyła się. To też nic dziwnego, że po powrocie na powierzchnię i po otwarciu „wygodnych drzwi", obaj przyjaciele, pokurczeni i śmiertelnie znużeni, ledwie zdołali wypełznąć z wnętrza stalowej komory.

Na takie to nadludzkie trudy i na śmierć okrutną narażali się obaj uczeni, aby tylko odkryć prawdę, aby oświetlić tajemnicę, aby wzbogacić wiedzę ludzką nowymi zdobyczami. (C. d. n.)

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

W jednej kilku rybaków między skrzyniami i beczkami, w drugiej Wiktor z dwoma wioślarzami o czekoladowej twarzy.

Okazało się, że wyprawie Wiktora szło od początku bardzo ciężko, gdyż w Chimbote nie mogli nic dostać do jedzenia w większej ilości i musieli udać się jeszcze do paru innych osad okolicznych po prowianty. Wreszcie z trudem znalazłszy rybaków chętnych do uczestnictwa w ich polowaniu, płynęli dwoma czółnami w stronę obozu.

Tymczasem owa banda zbójów różnokolorowych, która ich wczoraj okradła, zwietrzyła już nowe łupy i czatując na swym stateczku w miejscu, którędy musieli przepływać z powrotem ze świeżymi prowiantami, zagrodziła im drogę.

Wiktor ze swoją załogą przez dłuższy czas tak zręcznie manewrował, że już parę razy wydawało się, iż wyprowadził w pole napastników, ale wszystko na nic się nie zdało i na koniec trzeba było się cofnąć.

Wówczas zaczęło się kołowanie zgoła inną drogą, aż wreszcie przed wieczorem udało im się przypłynąć z innej strony pod brzeg, stanowiący obóz wyprawy. — gdy tymczasem bandyci wybrażali sobie, że uczestnicy polowania cofnęli się do portu w Chimbote w pełnej liczbie, nie sądzili bowiem dzikusy, że ktokolwiek pozostał na półwyspie.

— No, ale to dopiero połowa strachu minęła — mówił pan Edward, posilając się z Raulem świeżo przywiezionymi zapasami. — Co ty, Wiktorze, myślisz o naszym przepadłym towarzyszu?

Jego przyszły zięć nic nie odpowiedział panu Wormsowi, by nie przerażać Raula złymi przypuszczeniami o losie Karola; a wyobrażał sobie jak najgorzej.

Wśród tego wraz z nocą zapadła niespodziewanie gęsta mgła. Należało czekać do rana

Rybacy z Malajczykami zostali na straży przy obozie, pod namiotem zaś trzej myśliwi odsypiali noc ubiegłą w taki sposób, że zawsze jeden z nich przez pewien czas czuwał, a dwaj drzemali, wszyscy zaś mieli ciągle broń w pogotowiu na wszelki wypadek.

Użycie jej okazało się zbyteczne; noc wilgotna minęła spokojnie, ale po Karolu od dwudziestu czterech godzin nie było ani śladu. Na poszukiwania można się było wybrać dopiero nazajutrz późnym rankiem, gdy słońce przetrzebiło gęstą mgłę.

Zrazu błądzono w mylnym kierunku i dopiero koło południa natrafiono na ślady, które kazały zwrócić się w przeciwną stronę. Ale rychło znowu tropy zgubiono.

Wreszcie gdy się wiatr uciszył, a Raul po niezliczonych próbach znowu zakrzyknął z całej piersi, wywołując imię przyjaciela, usłyszano w odpowiedzi głos słaby, odzywający się z jakiegoś zagłębienia skalnego.

Raul z Wiktorem pobiegli za tym głosem uradowani, a wtedy z jakiejś szczeliny między głazami, odezwało się ponowne wołanie omdlewającym głosem. Nie wiedzieli jak przystąpić; co krok kamień z pod nóg im się usuwał; odpowiadali wzywającemu pomocy, ale nigdzie go dostrzec jeszcze nie mogli.

Dopiero okrążywszy zwaliska skał, znaleźli się w miejscu, z którego — dwadzieścia kilka godzin temu — Karol, wracając z nieudanych łowów, poślizgnąwszy się na ruchomym głazie, spadł w przepaść.

Spuszczono liny i po całogodzinnych wysiłkach, wydobyto biedaka osłabionego, lecz niezbyt potłuczonego, ponieważ wądół, w który runął z wysokości kilku metrów, napełniony był wilgotnym piaskiem.

Co najgorsze, że spędziwszy bezradnie przeszło dobę w wilgoci, zwłaszcza skutkiem wielkiej mgły ubiegłej nocy, nabawił się on febry, która w klimacie peruwiańskim bywa niebezpieczną. Ale duża porcja chininy z podróżnej apteczki zaraz stan chorego poprawiła znacznie, zapobiegając gorszym następstwom.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Oto największy skarb górala: stada białorunnych owieczek. Dostarczą mu one zdrowego mleka, z którego będą doskonałe serki, żętyca, dadzą mu drogocenną wełnę na sprzedaż lub na własny użytek. Taki prześliczny widoczek oglądali goście z miast, którzy tłumnie, jak zresztą co roku, zjechali się i tego lata w góry, by odzyskać wśród nich utracone siły i napoić duszę cudami polskiej przyrody.